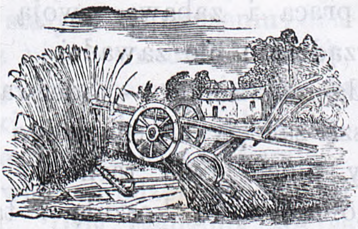
Tom I. 1. Marca 1870. Nr. 7.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czy nauka potrzebna?

Obrazek wiejski

przez Jana Kantego Gregorowicza.

Była to niedziela. Na ławeczce przed domem otoczonym sadem, siedziało dwóch poważnych gospodarzy, Wojciech i Jakób. Wojciech z pobliskiej wioski przyjechał w odwiedziny do swego sąsiada Jakóba i kuma zarazem.

Ten wasz Janek — odezwał się Wojciech — to łebski chłopak i tak gładko czyta z książki że już lepiej nie trzeba.

— Marysia moja choć o dwa lata młodsza — odrzekł Jakób — nie powstydzi się także czytania. Od maleńkości wkładali się do tego w szkółce naszej, a i piszą przytem niezgorzej. Wielka to wygoda z tą nauką, chociaż z początku niejeden kręcił na nią głową i narzekał na wydatek i odrywanie dzieci od pracy. Ale to było złe wyrachowanie. Raz jeden tylko do roku nie pojechać na jarmark, to policzyć, co mitręga kosztuje i co się wyda w mieście często z obrazą Boską, to i wystarczy na opłatę szkolną. Co zaś do odrywania dzieci od pracy, to i w tem nie było słuszności. Albo to nasze dzieci w ciągłej pracy od świtu aż do zmroku? Alboż na zbytki, śmieszki, i różne

dokazywania brakuje im kiedy czasu? Nauka może iść swoją drogą, a praca i zabawa swoją i jedno drugiemu w mądrem rozporządzeniu nie zawadzi.

— Oj! prawda mój kumie — odezwał się Wojciech — Wczoraj dzieci nasze zaczęły na ściganego przez płot przeskakiwać. A że przy płocie była tarnina, Magdusia nasza ze szczętem podarła o nią nową koszulę i tak się otrzęsła że dziś leży nieboga i jęczy jakby w jakiej ciężkiej chorobie. Ot i szkoda i zmartwienie, a wszystko z próżniactwa.

— Dobrze powiedzieliście mój kumie, że z próżniactwa. Mają więc z niego szkodę i zmartwienie przynosić, czyż nie lepiej żeby czas ten na nauce przepędziły? Dziatki moje od najmłodszego naganiałem do nauki w szkółce i dziś mamy z tego wszyscy pożytek. Codzień rano i wieczór Janek albo Marysia czytają z książki nabożnej modlitwy, a my wszyscy w myśli na klęczkach powtarzamy je sobie i polecamy się opiece Boskiej i Najświętszej Pannie Maryi. Śliczne to modlitwy, słuchając to się zdaje że niebo otwiera się nad nami grzesznikami i Bóg błogosławi w całym majestacie swego miłosierdzia. Po takiej modlitwie zawsze się czuję krzepciejszy do pracy dziennej, a na noc do spoczynku zapominam o dziennych kłopotach, bo wiem że Opatrzność Boska czuwa nad nami, i aby rąk w pracy nie opuszczać, wesprze i pocieszy. Przyjdzie święto albo długie wieczory, każde z nas zajmie się jaką robotą, a dzieciaki nasze naprzemian czytają z książki różne ciekawe i nauczające rzeczy. Co się dzieje między ludźmi, jak Bóg dobrym błogosławi a złych zmartwieniami przywodzi do upamiętania: co się dawniej działo kiedy się ludzie zaczęli rozradzać na ziemi, jak pielęgnować pszczoły żeby wiele miodu dawały, jak obrządzać się z sadem żeby krzewy i drzewa smaczny owoc rodziły, jak prowadzić gospodarstwo rolne żeby dobrze plonowało, żeby dobytek wiódł się, w chorobie znalazł pomoc i wiele innych rzeczy. Słuchając tego człek się bawi, odpędza z głowy różne niepotrzebne myśli, a i korzyść wielką odnosi w swojem gospodarstwie. Wół czarny byłby mi się zmarnował, uratował go Janek z książki: dawniej brakowało mi zawsze paszy, książka

dała mi ją, bo nauczyła koło niej właściwej roboty. Dawniej pszczoły i sad stały w opuszczeniu, dziś miód przedajemy garncami, robimy z niego smaczny napitek, a agrest, porzeczki i czereśnie jemy co chcemy i jeszcze ludziom przedajemy. Wszystko to książki nam dały i jakże tu nauki nie szanować? — Ale to nie wszystko mój kumie. Dawniej rządzono nami, ciemnemu więc prędzej uszło, bo byli tacy co o wszystkiem myśleli. Dziś rządzimy się sami sobą i mamy starać się, aby nam coraz było lepiej. Ciemny nie poradzi temu, bo idzie jakby omackiem, i tu stuknie, tam potknie się, tu syknie z bolu, tam ze straty, i choć stara się i zabiega to nim gdzie sięgnie, drugi już uchwyci i tak ciągle. Ciemności rozprasza światło i przy niem wszystko człek jasno widzi. Światło to nauka i bez niej nic nie poradzimy...

— Ej! mój Jakóbie — przerwał nagle Tomasz wychodzący z za węgla, który we wsi zawsze był do wszystkiego dobrego największą przeszkodą — nie bałamućcie ludziom głowy swoją mową. — Mnie nic nie brakuje choć nie mam nauki, ale kiedyście tacy mądrzy to powiedźcie, czem prędzej nasyci, czy książką czy miską dobrze jadłem napełnioną?

— Na to wam nie dam odpowiedzi, ale powiem bajkę co mi ją Janek przeczytał:

Pytał głupi mądrego: na co rozum zda się?
Mądry milczał: gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

JEDYNAK

Legenda.

Słońce rankiem w dzień lipcowy
Z za pagórków w wschodniej stronie
Zeszło prawie do połowy
Żniwom dzień zwiastując śliczny.
Więc gdzie pański łan pszeniczny
Falą złotych kłosów płonie,
Dwieście sierpów miga zdala
Jako jedna blasków fala.

Już poranna mgła płachtami
Zniża — zniża się w około,
I już zdala za łanami
Widać cerkiew — widać sioło,
Jak się rade tam w oddali
Kąpią w złotych świateł fali,

Słońce świeci — sierp wśród kłosów
Miga zdala — w dwieście głosów
Żeńce nucą piosnki hoże
Kładąc w rzędach zżęte zboże.

A przy miedzy, przy zielonej
Siedzi chłopczyk piękny — młody;
Bóg nie skąpił mu urody,
To też z twarzy uśmiechnionej
Tak anielska patrzy dusza,
Że gdy spojrzysz w jego oczy,
Już ci wyraz ich uroczy
Do podziwu serce zmusza.

Chłopczyk oko swoje sine
Wlepił w matkę, co z żeńcami

Kładąc zboże pokosami,
Czasem spojrzy na dziecinę,
To uśmiechnie się do niego,
To zagada jakieś słowo,
Nim się schyli i na nowo
Migniem błyskiem sierpa swego.

— „Dziécię moje, synu drogi
Weź dzbanuszek ten maleńki,
Idź po wodę do studzienki —
Lecz nie skalecz bosej nogi.
Źródło — widzisz — tam na dole
Gdzie się pańskie kończy pole,
Tam gdzie pasterz poi trzodę.
Tylko zważ, byś nie wpadł w wodę."

Chłopczyk chwycił dzbanek w dłonie
I przebiegłszy łan pszenicy
Biegł po wodę do krynicy.
Matce serce drgnęło w łonie.
Sierp błyszczący opuściła
I źrenicę wytężyła
Za biegnącym swoim synem —
On dziecięciem jej jedynem.

Już się zbliża do krynicy, —
Na kolano już przyklęka,
Bierze dzbanek do lewicy,
Już się w studnię chyli ręka,
Za nią chylą się ramiona
I prześliczna dziecka głowa.
Matce serce drzy wśród łona,
W ustach zamierają słowa.

Nagle jękła i krzyknęła,
Sierp rzuciła na pszenicę
I pobiegła ku krynicy —
Jéj dziecina, utonęła!

Prędzej niźli człowiek zdoła,
Już stanęła przy studzience,
Przyklęknęła — zgina czoło,
W głąb krynicy spuszcza ręce
I wyciąga ciało syna:
Lecz zapóźno! — jego oczy
Już sen zimnej śmierci spina,
Z twarzy uśmiech znikł uroczy.

Matka ciało tuli — pieści
I piersiami swemi grzeje,
Lecz twarz syna wciąż blednieje,
A o życiu ani wieści.

A więc pada na kolana,
Dziecię kładzie tuż na ziemi
I prośbami serdecznemi
Błaga jasnych niebios Pana.

— „Boże wielki — mocny Boże,
Zbudź mi dziecię — zbudź mi syna!
Panie, błagam cię w pokorze,
Bo już pęknie pierś matczyna.
Maryo! matko Zbawiciela,
Tyś kochała dziecię twoje,
Pierś twa ludzki ból podziela —
Wkrześ więc — wkrześ mi dziécię moje!"

Po tych słowach na twarz pada,
Skroń płonącą na darń składa,
Pierś na trupie syna spiera.
Wtém na rannej mgły pościeli
Jasny obłok się otwiera
Z niego w śniącej — śnieżnej bieli
Jakaś postać się wynurza,
A na jej świecącem łonie
Do jej piersi tuląc skronie,
Dziecię do snu oczka zmruża.
W koło nich w tęczowym wianku
Mgły się wiją bez ustanku,
A skowronki jak łuk mały
Na powietrzu się wstrzymały.

Mgła się zniża — zniża w koło.
Rozpostarta nad strumykiem.
Nagle matka wznosi czoło
I z radości głośnym krzykiem
Chwyta syna — syn jej żyje!
Już wyciąga rączki małe
I jak wstęgi jasne — białe
Splata matce w koło szyi.
Mgła się coraz niżej zlewa
Już potoku się dotyka,
Już rozpryska się — rozwiewa,
I z zjawiskiem razem — znika.

A żniwiarze widząc z łanu
Z dzieckiem Jezus Maryę Pannę
Osłoniętą w mgły poranne
Ukorzyli skroń swą Panu,
Wielbiąc jego dobroć świętą
Tajemniczą — niepojętą!

Franek z nad Lipy.

Opowiadanie pana Piotra organisty o dzikich ludziach z Afryki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł Jędrzej Panewka, wchodząc do pana Piotra Rzędzińskiego, organisty z Pisarkowa i pozdrawiając sędziwego sąsiada uprzejmym ukłonem.

— Na wieki wieków! witajcie Jędrzeju, odpowiedział pan Piotr, składając książkę którą właśnie czytał i wstając na powitanie przybyłego. Jak się macie? Co was do mnie sprowadza? Siadajcie i spocznijcie!

— Jeno tak na pogadankę przyszedłem do was panie Piotrze, rzekł na to Jędrzej, ale powiedźcie proszę czy wam nie przeszkadzam, bo jak widzę siedzieliście przy książce.

— Czytałem wprawdzie, powie Piotr, ale to nic pilnego, miły i oczom wypoczynek — a wreszcie gość w dom, Bóg w dom, rad wam jestem całem sercem, jak wszystkim, którzy mię samotnego czasami odwiedzają, bo jak każden stary, lubię gawędzić, lubię dzielić się z drugimi tem, co sam wiem, lub czego w długiem życiu doświadczyłem.

— Ale bo wy też ciągle i ciągle przy książce, rzecze Jędrzej.

— Ha! toć to jedyna moja rozrywka. Gospodarstwa od owdowienia nie prowadzę, dzieci dawno na swoim chlebie.... cóżbym robił cały dzień, gdy się ze służbą bożą uporam. To moje całe szczęście, że mam kilkanaście swoich książek i że od czasu do czasu dostaję książki od naszego księdza proboszcza i ze dworu, albo od dzieci. Teraz dostałem od syna i czytam bardzo piękną książkę.

To mówiąc podał Jędrzejowi książkę, którą był przed chwilą odłożył. Jędrzej wziął do rąk i przeczytał tytuł: Podróż do Afryki.

— O Afryce, wyście zapewne nic albo mało słyszeli, Jędrzeju, mówił organista, skoro więc przyszliście na pogadankę, opowiem wam cokolwiek co w tej książce i w innych dawniej czytałem o tej części świata.

— Tyle wiem zaledwie o Afryce rzekł Jędrzej, że tam niezmierne panują gorąca i że ludzie tamtejsi są czarni; będę wam więc bardzo wdzięczny, jeżeli mię lepiej oświecicie. Wprawdzie i o swoim własnym kraju nie wiele się wie, dodał skrobiąc się w głowę, ale taka to już natura ludzka, że co dalsze, to się lepiej podoba. Wreszcie nie tak często zdarza się posłyszeć o krajach zamieszkałych przez dzikich ludzi, a takie opowiadania są zawsze bardzo ciekawe i pouczające.

Pan Piotr świeżą świecę zaprawił, nałożył i zapalił fajeczkę i dalejże opowiadać Jędrzejowi o Afryce, jako to jest kraj płaski, w którym na wiele mil ciągną się stepy niezmierne, wysoką trawą zarosłe, gdzie niegdzie tylko górami poprzerzynane, jakie tam są puszcze piasczyste, w których ledwie co kilka lub kilkanaście mil spotyka wędrownik kępę zieloną. Opowiadał potem jaka to bieda w tych gorących krajach bez wody, bo rzek i jezior nie wiele. Dalej znowu mówił jak to w Afryce nie ma czterech pór roku, wiosny, lata, jesieni i zimy, lecz tylko dwie, sucha i dżdżysta. W suchej porze roku upały tak rozpalają ziemię, że bosą nogą stąpać po niej nie można a w dżdżystej, która trwa kilka miesięcy, tak gwałtownie deszcze padają, że wszystkie rzeki występują z brzegów i przyległe pola okrywają użyźniającym ziemię mułem, co jest wielkiem dla mieszkańców dobrodziejstwem, bo na tych polach bardzo bujnie rośnie potem zboże. Są jednak i takie miejsca, dodał w końcu pan Piotr, gdzie wieczna panuje wiosna, są i takie, gdzie długie lata bez przerwy posucha panuje i jedna kropla deszczu nie zwilży ziemi spragnionej.

— Ciekawym też jakie drzewa, jakie rośliny mogą rosnąć w tych dziwnych krajach? rzekł Jędrzej.

— Wiele tam jest drzew i roślin wcale u nas nieznanych, są i takie, których nasiona tylko widujemy. Najwięcej rośnie drzew zwanych palmami, które dostarczają smacznych bardzo owoców, jako to orzechów kokosowych, słodkich dakteli, i innych. Zresztą rośnie tam proso, ryż, trzcina cukrowa, kawa, bawełna, tytuń i wiele innych. Zwierzęta afrykańskie są także mało podobne do naszych a o wiele groźniejsze, zwłaszcza słonie. lwy, tygrysy, lamparty, hieny, szakale, krokodyle, węże

ogromnej wielkości, małpy, papugi, strusie; ze wszystkich zaś tych zwierząt najważniejszym jest wielbłąd, który dla mieszkańców Afryki jest tem czem, dla nas koń i wół.

— O tych wszystkich zwierzętach słyszałem i czytałem już niejedno, powie Jędrzej, dla tego proszę was Piotrze, nie mówcie już o nich, a opowiedzcie jeźli łaska co nieco o dzikich ludziach, bo tego jestem najbardziej ciekawy.

— Jakeście sami rzekli, mówił Piotr, najwięcej tam jest Murzynów, ludzi czarnych od stóp do głowy. W północnej Afryce mieszkają biali ludzie, ale ci nie są dzicy, tym razem więc nie będę wam o nich powiadał, skoro tylko o dzikich słyszeć chcecie. Owoż dzicy ludzie żyją jak zwierzęta. Nie mają zgoła miast murowanych, lecz tylko liche wioszczyny, po krawędziach lasów rozrzucone, obwiedzione w około żywym płotem, lub częstokołem, aby się dzikie zwierzęta wedrzeć nie mogły. Domy ich są to budy, sklecone z gałęzi i błota, pokryte trzciną, bez okien i jeden tylko mają otwór, którym zaledwie na czworakach można wejść wewnątrz. Inni nawet nie budują domów, lecz wyszukują sobie po lasach jaskiń i w nich mieszkają. Murzyni chodzą nago, bo całem ich odzieniem jest krótka i wązka zapaska z liści, albo też z plecionki zrobiona. Idąc jednak na wojnę przewieszają przez ramię skóry z dzikich zwierząt. Broń palna jest im nieznana, strzelają jednak celnie z łuków i bardzo zręcznie rzucają dzidami. Kobiety przebijają sobie wargę dolną i górną, i zatykają w nich kawałek drzewa albo szkła kolorowego.

— A dla Boga, co wy też mówicie Piotrze, przerwie Jędrzej, toż taka jejmość musi mieć gębę nieprzymierzając jak dziób u kaczki.

— Ha, co kraj to obyczaj, odpowie organista. Murzyn nie nosi świty ani kaftana, murzynka nie zna spodnicy i gorseta, zdobią się więc jak mogą, byle się sobie podobać. Dziwny też panuje między nimi zwyczaj szpecenia się i kaleczenia. Jedni piłują sobie zęby w szpic, drudzy wykrawują blizny na twarzy i całem ciele, i nacierają się popiołem z gnoju. Lubią też bardzo paciorki szklanne i obrączki świecące metalowe, które noszą na rękach i nogach. Pomimo tej ozdoby jednak

niepodobna prawie zbliżyć się do takiego dzikiego człowieka, bo smród obrzydliwy z daleka czuć od niego. Żywią się rozmaicie; jedni ścierwem czyli padliną, drudzy myszami, jaszczurkami, inni rybami lub owocami dziko rosnącemi, inni wreszcie gąsienicami, pająkami itp.

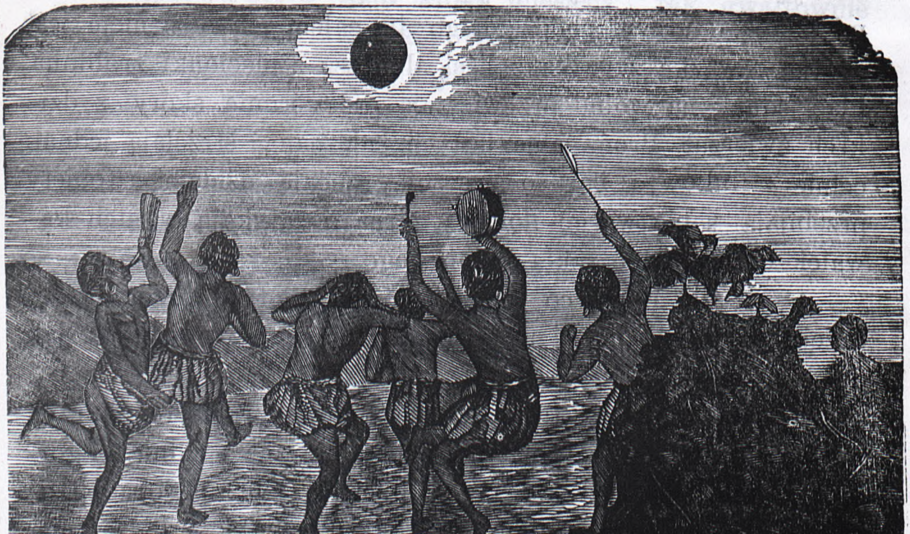
Jędrzej splunął.

— To już gorzej zwierzęcia. A czemże się oni trudnią? co robią?

— Cóż mają robić skoro nic zgoła nie umieją. Od trzystu przeszło lat Anglicy, Francuzi, Niemcy, Portugalczycy i inne narody oświecone prowadzą z nimi handel i wielu księży chrześciańskich jeździ tam corocznie, aby ich oświecać, ale to wszystko na nic się nie zdało; są dzisiaj tak samo głupi i ciemni jak przed trzystu laty.

— Ale skoro handlują, powie Jędrzej, toć muszą coś robić, coby mogli sprzedawać.

— Sprzedają ryż, kły słoniowe, futra, pióra z ptaków, a czego najwięcej, to ludzi, swoich własnych współbraci sprzedają w niewolę.



Murzyni podczas zaćmienia księżyca.

— To okropne...

— Okropne, jak wszystko, co się tam dzieje w tym kraju pogańskim, gdzie nie Boga, stwórcę nieba i ziemi, ale najrozmaitsze żywe i martwe przedmioty ubóstwiają, jak oto małpy, jaszczurki, krokodyle; gdzie modlą się do kamienia, nawet do prostego kija, wetkniętego w ziemię. Nie mają religii, nie mają żadnych praw, żadnych urządzeń. Murzyn kupuje dziewczynę za kawał płótna, lub flaszkę wódki i odtąd jest ona jego żoną a zarazem niewolnicą. Im bogatszy, tem więcej posiada niewolnic, ale ich nie żywi; każda musi starać się sama o wyżywienie siebie i swoich dzieci. Jak żona jest niewolnicą męża, tak dzieci są niewolnikami ojca. Wolno mu je sprzedać jak bydlęta, ale i on jest niewolnikiem naczelnika osady, takiego samego ciemnego, nagiego i nędznego murzyna i podobnież może być w każdej chwili sprzedanym. Trzy czwarte części całej ludności afrykańskiej są niewolnikami a los każdego niewolnika jest okropniejszy nad wszelkie pojęcie, bo właściciele obchodzą się z nimi z największem okruciestwem. Za lada przewinienie właściciel przywiązuje niewolnika do drzewa i chłoszcze do krwi, ucina mu ręce lub nogi, naciera oczy pieprzem, obrzyna uszy, rąbie go w kawałki i rzuca w rzekę rybom na pożarcie. Jest też zwyczaj taki, że gdy umrze starszy w rodzinie lub naczelnik osady, pozostali krewni biorą wielu jego niewolników, przywiązują ich do pali i puszczają na wodę, gdzie ryby szarpią ich po kawałku i pożerają. – Okropne to są rzeczy, mój Jędrzeju; widzę jak potrząsasz głową, niby z niedowierzaniem. Jakoż to wszystko niepodobne do wiary wydaje się nam, oświeconym w wierze św. i żyjącym według zasad Jezusa Chrystusa, ale jednak w tem wszystkiem co ci mówiłem nie było ani słowa przesady, lecz wszystko sama prawda. Cóżbyś dopiero powiedział, gdybym ci zaczął prawić o ludożercach, przed których chatami leży zawsze pełno kości ludzkich z pożartych ciał. Zjadają oni ciała zamordowanych na wojnie nieprzyjaciół, król zaś zjada tylko głowy, jako największy przysmak.

— Przyznam się wam Piotrze, rzecze Jędrzej, że nigdybym temu nie uwierzył gdyby, ktoś inny opowiadał..... Ale

prawdać i to: do czegoż to nie prowadzi ciemnota. Wprawdzie u nas nie dzieje się nic podobnego, ale kto wie coby się działo, gdybyśmy się tak jak murzyni wychowywali w ciemnocie, bez księdza, kościoła, bez szkoły. Bo choć u nas ludzie ludzi nie jedzą, ale przecież ileż to i u nas zdarza się okrucieństw, zwłaszcza w tych stronach, gdzie oświata mniejsza!

— Tak jest Jędrzeju, to widać i z tego, że u nas pomimo kazań i nauk w kościele i szkole, ciągle jeszcze tyle utrzymuje się zabobonów jakby u dzikich ludzi.

— Jakto? i murzyni są zabobonni?

— Wierzą nawet w czary i dla tego jest wielu pomiędzy nimi którzy chcą uchodzić za czarowników. Ten brak oświaty jest także przyczyną że każde zjawisko, którego sobie wytłumaczyć nie umieją, nabawia ich okropnego strachu. Tak np. gdy się zdarzy zaćmienie słońca lub księżyca, myślą że się zbliża koniec świata i w trwodze największej, krzyczą, skaczą, biją w ziemię nogami i wyciągają pięście ku niebu, sądząc że tym sposobem odstraszą ciemność, inni zaś grają na rogach i biją w bębny.

Gdy to mówił Piotr, ktoś z cicha stuknął w okno. Spojrzeli obadwa a Jędrzej postrzegł żonę swoją, która nie mogąc się go doczekać, przyszła ze starszym synkiem Józiem aby przypomnieć mężowi, że już czas udać się na spoczynek. Jędrzej widząc że już późno, podziękował serdecznie panu organiście za jego opowiadanie i pożegnawszy starca, pospieszył do domu.

Ksiądz Adam Prosper Burzyński, reformat, biskup sandomierski.

(Dokończenie)

Podczas gdy ksiądz Burzyński tak gorliwie uprawiał winnicę pańską w Egipcie, wielkie ale smutne zmiany zaszły w jego ojczyźnie. Dla Polski wybiła ostatnia godzina. Moskale, Prusacy i Austryacy podzielili się pozostałą jeszcze resztą ziem polskich i na cały naród ciężkie nałożyli kajdany. Nie było kąta, gdzieby wolno było nazywać się Polakiem. Ale

oto we Francyi powstał wielki wojownik Napoleon. Ponieważ walczył on także z nieprzyjaciołmi naszej ojczyzny, wielu Polaków zaciągło się do wojska francuzkiego i wysługiwali się Napoleonowi, krew swoją przelewali za niego, w nadziei że przez wdzięczność dopomoże im kiedyś do wydarcia ojczyzny ze szpon wrogów. Ale Napoleon zawarłszy pokój z Austryakami, i nic dla Polaków nie uczyniwszy, popłynął z licznem wojskiem do Egiptu, aby go opanować. Po kilku wygranych bitwach, przyszło mu walczyć pod Piramidami. Szczęście mu sprzyjało, pobił do szczętu Mameluków. Ksiądz Burzyński, który mieszkał w pobliżu, pospieszył zaraz na plac boju, i niósł żołnierzom pomoc lekarską i duchowną. Gdy się ze zwykłą gorliwością oddawał swojej pracy, posłyszał opodal dwóch wojskowych, rozmawiających ze sobą po polsku. Byli to pułkownik Sułkowski i jenerał Zajączek, Polacy, którzy z wielu innymi rodakami przybyli aż tu z wojskiem Napoleona. Cóż to była za radość gdy swoi swego, a do tego tak zacnego i świątobliwego męża w tym dalekim kraju znaleźli. Ale i ksiądz Burzyński nie mało się ucieszył, a zapoznawszy się z innymi Polakami, przywiązał się do armii Napoleona i odtąd towarzyszył jej ciągle. Poszedł potem z wojskiem aż za granicę Egiptu, do Syryi, co leży niedaleko Ziemi świętej i tam został.

Ale Napoleonowi nie dobrze się powiodło. Spalono mu okręty, wojska tureckie świeże nadciągły, zaraza w wojsku francuzkiem wybuchła. Francuzom w Europie także nie najlepiej się wiodło. Napoleon opuścił więc Egipt, i wrócił do swego kraju. Z dwóch Polaków, z którymi ks. Burzyński tak miłą pod Piramidami zrobił znajomość, Sułkowski poległ, a Zajączek odpłynął. — Wróciwszy do Francyi Napoleon objął władzę najwyższą i toczył straszne wojny. Wiele on bitew wygrał, cały porządek w świecie wywrócił i ogłosił się cesarzem Francuzów. Potem znowu wojny toczył z Austryą, Moskwą i Prusami, a odebrawszy Prusakom kawał polskiej ziemi, z miastem Warszawą, utworzył z niego księstwo warszawskie. I znowu wojował, to z Portugalią, to z Hiszpa-

nią i obalał dawne królestwa a stanowił nowe. Tylko Rosya stała jeszcze niewzruszona i ją więc upokorzyć postanowił.

Ogromna armia Napoleona ruszyła przez Polskę do Moskwy, ale tam niebawem straszną poniosła klęskę. Śmierć zabrała krocie tysięcy Francuzów, Polaków i Niemców towarzyszących Napoleonowi. Mało kto cały powrócił, toż i jenerała Zajączka kula nie minęła; wrócił wprawdzie żywy, ale bez nogi. Po tej klęsce Napoleona, wszyscy monarchowie poszli teraz na niego, pobili go i osadzili na jednej wyspie a gdy wkrótce ztamtąd powrócił i jeszcze raz na czele wojska stanął, znowu straszną mu klęskę zadali i wywieźli go bardzo daleko, poczem zjechali się wszyscy do Wiednia dla przywrócenia dawnego porządku, który ów niezrównany wojownik wywrócił.

Gdy się to dzieje w Europie, ksiądz Burzyński zatęsknił za krajem rodzinnym i zapragnął jeszcze raz zobaczyć go przed śmiercią. I oto już pożegnał swoje owieczki i z żalem powszechnym powraca do ojczyzny. Już wsiadł na okręt i przy pomyślnym wietrze szybko morskie tonie przebywa. Po wielu dniach podróży zawitał nareszcie do Europy i teraz już lądem spieszy a spieszy, aby jak najprędzej ujrzeć ojczyznę.

I oto już widzi jej pola zielone, jej rzeki i góry, jej wioski i miasta. Z oddalenia i mury Kazimierza już się uśmiechają do niego. Już wstępuje w mury klasztoru — witają go bracia, pytają o przygody, prowadzą do celi. Wiele się zmieniło w ciągu lat kilkunastu. Ten umarł, ów się postarzał ale i księdzu Burzyńskiemu na dobre długa pobielała broda. I w mieście zaszły zmiany, bo stary Kazimierz, jeszcze się bardziej postarzał; i w ojczyźnie zmiany niepospolite. Po upadku Napoleona monarchowie przywrócili królestwo polskie, wprawdzie bardzo obkrojone i pod panowaniem cesarza rosyjskiego, lecz że już ustały niepokoje i wojny, że był rząd polski, wojsko polskie, szkoły polskie, Polacy i tem się cieszyli.

Księdzu Burzyńskiemu mijał czas dość przyjemnie na wypoczynku, na opowiadaniu przygód, ale nie mógł się oswoić

ze swoją teraźniejszą nieczynnością i niespełna w rok po powrocie, zapragnął znowu dawnych trudów i niebezpieczeństw po których zaledwie wypoczął.

Pewnego wieczoru wszedł cichaczem do celi księdza gwardiana i dalejże rozpowiadać mu, że chciałby znowu wyjechać dla nawracania pogan. Ksiądz gwardian przedstawiał, ale nie śmiał odwodzić czcigodnego kapłana od tak pięknego zamiaru. Już nazajutrz w całym klasztorze wiedziano że ksiądz Burzyński znowu się na misyę wybiera a niebawem zaczęły się przygotowania do podróży. Ale przed wyjazdem trzeba jeszcze było udać się po paszport do Warszawy, stołecznego miasta.

Wspaniałe to miasto ta Warszawa, bo też to pałace.... a zamek królewski... a kościoły.. a Wisła... a lud poczciwy, choć przecież nie tak wesoły jak dawniej! A dzielne wojsko polskie! co to za postacie! Ten był w Egipcie, ten w Hiszpanii, ów pod Moskwą a każdy bił się za Polskę. Ksiądz Burzyński idąc ulicą zadumał się o tem wszystkiem, aż oto z nienagła jakiś pan sędziwy i poważny, kulawy, przystępuje i uśmiecha się do niego. Ksiądz Burzyński popatrzył, zdaje mu się, że już widział gdzieś tę twarz, ale gdzie, nie wie. A pan kulawy rzecze:

— Nie poznajesz mię księże dobrodzieju? A widzisz, ja cię zaraz poznałem, choć przyznam się, tylko po brodzie.

— Gdzieś widziałem, ale sobie nie przypominam, odpowiedział ksiądz.

— Widzieliśmy się pod Piramidami, rzecze pan; nie poznajesz księże jenerała Zajączka?

Jenerał Zajączek był naówczas namiestnikiem cesarza rosyjskiego w Królestwie Polskiem.

— A... to sam książę namiestnik! powie ksiądz.

— Cóż tu porabiasz, księże dobrodzieju? rzecze znów namiestnik; czy dopiero powracasz?

— Gdzieżtam, znowu się wybieram pod Piramidy i przyjechałem po paszport.

Namiestnik się zamyślił, a potem nagle jakby mu coś na myśl przyszło, zagadał:

— Daj sobie pokój dobrodzieju, zostań w kraju, znajdzie się tu może lepsza misya dla ciebie.

— Mości książę, powie kapłan, to mój obowiązek, to rozkaz z nieba, któremu trudno się opierać. A wszakże i ty panie, gdyby znowu na rozkaz Napoleona uderzono w bębny, porzuciłbyś wszystko i poleciałbyś choćby na koniec świata.

Książę poczerwieniał i rzekł:

— To nie, mój księże. Biłem się niegdyś w nadziei, że Polsce dobrze zrobię, ale teraz widzę, że dla Polski nie ma zbawienia tylko w Rosyi.

Ksiądz Burzyński przygryzł wargi i pomyślał:

— Taki to ty ptaszek?

Takim niestety ptaszkiem był na starość Zajączek. Uroiło mu się że Rosya Polskę zbawi. O Boże! chroń nas od takich ludzi, bo tacy ludzie równają się zdrajcom! Zdrajcy naród sprzedają, a ci go oszukują, co tem większą jest zbrodnią, gdy w nich naród całe swoje położy zaufanie.

Chwilę jeszcze rozmawiali. Namiestnik nalegał na księdza, aby pozostał w klasztorze.

— Mam dla ciebie mój dobrodzieju ważny obowiązek. Nie zaraz to nastąpi, ale mam nadzieję że mi się uda — jeżeli nie, to pojedziesz gdzie zechcesz.

— Cóż przecie? pytał ksiądz.

— Wracaj do Kazimierza a dowiesz się niebawem.

— Ha! nawykłem do posłuszeństwa zwierzchności, odpowiedział ksiądz; niechże i tak będzie.

Zaraz nazajutrz ksiądz Burzyński wyjechał z powrotem do Kazimierza. Nudził się długo czekaniem i niepewnością, aż oto jakoś w parę miesięcy nadchodzą listy z Warszawy do księdza Burzyńskiego. Zrobiono go biskupem sandomierskim. Jenerał Zajączek pisał o to do cesarza rosyjskiego, a ten do papieża. A tak ksiądz Burzyński nie pojechał już do obcych krajów dla nawracania pogan.

Biskup Adam Prosper zatrzymał do śmierci swoją bujną, długą po pas brodę, która wspaniałej jego postaci przydawała powagi. Był to mąż surowej cnoty, wzorowy i najgorliwszy pasterz, pilny w wykonywaniu wszystkich obowiązków

wysokiego swego stanu. Największą baczność zwracał na szkoły, tak nawet że gdy objeżdżał swoją dyecezyę pierwej nim do kościoła, szedł do szkoły i przysłuchiwał się nauce, poczem dopiero profesorowie i uczniowie odprowadzali go z chorągwiami do kościoła. Umarł w r. 1830.

Stanisław Krakowczyk.

Środek przeciw odmrożeniu.

Jest wiele nierozsądnych ludzi, którzy przeziębnąwszy na mrozie, idą zaraz do gorącego pieca a zdjąwszy obuwie, grzeją sobie nogi. W takim razie może raptownie nastąpić odmrożenie, które sprawia wielkie boleści nie tylko w zimie ale i na wiosnę. Kto sobie odmroził nogi lub ręce, wie o tem dobrze, że na wiosnę jakby kto rozpalone żelazo przykładał do tych odmrożonych części ciała, tak piecze i dokucza okrutnie. Należałoby, żeby każdy wyrył sobie w pamięci złote słowa ś. p. Legatowicza, który powiedział:

Pozbywszy się zimy skrzepłej,
Wnet nie zrzucaj sukni ciepłej.
Nie wchodź nagle złym zwyczajem
Z ciepła na mróz i nawzajem.

Wielu jednak nie zważa na te słowa, dla tego samochcąc cierpi nieraz dokuczliwe boleści. Kto sobie odmrozi nogi lub ręce, podaję mu na to dobrą, na doświadczeniu opartą radę. Niech rozpuści kawałek ałunu w letniej wodzie, w której należy potem moczyć nogi lub ręce, następnie obetrzeć dobrze i obłożyć zwykłym łojem, jakiego się używa na świece. Po dwu lub trzy razowej próbie skutek niezawodny. Należy to jednak czynić wieczór przed spaniem, nie rano lub w innej porze.

Gdyby odmrożenie było tak silne, iżby ciało odpadac zaczynało, wtedy trzeba natychmiast udać się do lekarza, by uniknąć bolu lub łatwego kalectwa.

Na odmrożenie jest także dobry środek, jakiego w Rosyi używają. Odrzynają łupę z ogórków, suszą ją na słońcu i chowają na zimę. Gdyby się zdarzył wypadek, żeby ktoś odmroził nogi, rozmiękczają łupę w wodzie i przykładają na odmro-

żone miejsca. Ponieważ zaś ogórki nie zawsze są pod ręką, prostszy i łatwiejszy jest środek pierwszy.

Nie puszczajcież wy, kochani rodzice, dzieci waszych do pieca, gdy zmarzną na mrozie, bo to najpewniejszy środek przeciw odmrożeniu. Lepiej użyć śniegu, poszurać nim odmrożone miejsca a nie chodzić do pieca żadną miarą.

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

Nowy sposób robienia masła. Nietylko w maślnicy można zrobić masło. Oto nowy sposób: Śmietanę na masło przeznaczoną zawiązuje się w worku z płótna średniej grubości, wraz z workiem zakopuje w ziemię, mniej więcej na głębokość łokcia i zostawia tak przez całą dobę. Po upływie tego czasu wyjmuje się śmietana, która przez ten czas stwardniała, przerabia łyżką drewianą po wlaniu nieco wody, przez co maślanka lepiej się oddziela. Jeżeli śmietany jest bardzo dużo, to trzeba ją zostawić przez dłuższy czas w ziemi; w zimie zaś gdy ziemia jest przemarzłą, można robić to w piwnicy.

Sposób ten jest niezawodny i we Francyi wielkiem cieszy się powodzeniem, bo nie tylko oszczędza wiele czasu ale jeszcze śmietana wydaje wiele i to wybornego masła. Chcąc zapobiedz, aby masła nie było czuć ziemią, można, jak to wiele osób czyni, worek ze śmietaną jeszcze w drugim worku umieścić.

Przywiązanie indyczki do swego pana. Pewna gazeta francuzka opisuje następujący szczególny wypadek przekonywujący o przywiązaniu indyczki do swego pana. Pewien biedny włościanin znalazł w polu indyczkę ledwie żyjącą, zranioną przez psów, zabrał ją z sobą, opatrzył rany i tak gorliwie leczył, że nareszcie uzdrowił ją zupełnie. Indyczka tak przywiązała się do swego pana, tak go pokochała, że nie opuszczała go dniem i nocą, chodziła za nim w pole, do szynku, a nawet do kościoła jak wierny pies, wieczorem siadała koło jego łóżka i drzemała jednem okiem. Trwało to dość długo, ale nareszcie przyszedł koniec. Włościanin zachorował i po długich cierpieniach umarł. Kiedy ksiądz i krewni przyszli do nieboszczyka, zobaczyli biedną indyczkę leżącą na ciele swego pana usiłującą ogrzać skrzydłami zimne zwłoki. Z trudnością spędzono ją z łoża dobroczyńcy; biedna musiała ustąpić jakkolwiek była szczerszym od obecnych przyjacielem nieboszczyka. Nie broniono jej wszakże dążyć za trumną. Po pogrzebie opuszczona indyczka powróciła powoli do domu i odtąd nie widziano jej we wsi. Dopiero po tygodniu znaleziono ją nieżywą na łóżku nieboszczyka. Umorzyła się głodem.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza